WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK III WIELKOPOLSKA KWIECIEŃ 1933 NR. 4 (19)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

JAN PIECHOCKI:

DO CZEGO MOŻEMY, DO CZEGO POWINNIŚMY DĄŻYĆ?

Żyjemy coprawda w epoce racjonalizacji i piatiletek, lecz niemniej — jeśli chodzi o pismo literackie — może ono żyć i rozwijać się bez drobiazgowo zgóry określonego, we wszystkich szczegółach ułożonego planu. Pewien cel, pewien kierunek, pewien program jest konieczny. Z drugiej strony jednak ma się z miesięcznikiem, poświęconym sztuce i kulturze, podobnie jak z młodzieńcem, który w piękny majowy poranek wybrał się za miasto na spacer: wie dokąd pójdzie, lecz nie wie, kogo spotka, gdzie przystanie, o której minucie wróci. Mógłby sobie wzorem nudnych pedantów szczegółowo wypracować trasę spaceru i na upartego tę trasę w poprzednio ustalonym czasie przebiec, lecz byłby to trącący humorystyką wyczyn pedanta, a nie majowy spacer.

Tak samo ma się rzecz z nami. Obudziły się w nas pewne pragnienia, jaśnieje przed nami pewien cel, idziemy w pewnym kierunku, ale nie chcemy ani możemy być pedantami. Rozwijamy się i krzepniemy, każdy z osobna i jako ogół piszących, lecz nie zamykamy sobie murem formułek programowych rozmaitych możliwości krystalizacyjnych. Poznajemy się wzajemnie coraz lepiej i wciągamy coraz więcej chętnych do pracy. Nie badamy ani paszportów ani nie poddajemy adeptów egzaminom wstępnym. Całość zestraja się i harmonizuje niezgorzej, a jeśli porównać pierwsze numery naszego pisma z ostatniemi, uderzy nieuprzedzonego czytelnika obok podniesienia się poziomu także uwydatniająca się z każdym numerem Wici „linja generalna" pisma. Proces wzrostu i rozrostu dokonał się niejako organicznie, a w miarę jego dokonywania się przychodzi uświadomienie dróg i metod.

Przyznaję, że program redaktora może się wydawać poetycko-mglisty, życiowo-nierealny. Lecz cóż oznaczają *słowa Marjana Turwida*, widniejące w pierwszym numerze „Wici": „Otwórzcie nam bramy miasteczek i miast, warsztatów i serc. — Niesiemy wam pomoc — kwiaty"?... Idzie o to poprostu, aby w krainie Wielkiej Doliny obok zbóż i okopowizn znalazł się także szmat ziemi pod uprawę kwiatów. Choćby to były proste bławatki i maki. Idzie o *stworzenie atmosfery odpowiedniej dla kultury umysłowej,* dla ruchu kulturalnego i artystyczn. Nie piszę rozprawy na temat życia umysłowego w czasach przeszłości Wielkopolski. Szczycimy się przecież, wspomnę nawiasem, Raczyńskim, Kasprowiczem i Przybyszewskim, a szydercom wskazujemy na świetny okres publicystyki poznańskiej po r. 1830. Przeszłość



PIOTR CHMURA „PRZY PŁUGU" (Drzeworyt)

przeszłością, lecz obecnie jest naogół nie tyle „laurowo“ ile „ciemno“. Trzeba się przeto zabrać do usuwania „kamieni ugornych“ — pracy mało przyjemnej, mało ciekawej, lecz koniecznej, aby wypoczęta gleba mogła rodzić.

Usuwamy „kamienie ugornc“ — i to stanowi pierwszy punkt naszego „programu“. Do tej roboty, szarej i znojnej, nie potrzeba genjuszów, starczy jeśli się znajdzie odpowiednia liczba pilnych pracowników. W miarę postępowania roboty wprzągnie się pracowników lepiej wykwalifikowanych, bo i praca będzie inna. Odległy to etap. Niech rola stanie się odpowiednią pod uprawę, a wtedy znajdą się ogrodnicy.

Społeczeństwu, które zaledwie zna alfabet kultury umysłowej (przynajmniej jako ogół), nic nie powie Norwid, Rilke czy Hoene - Wroński. Tylko genjusze mogą przeskoczyć szkołę powszechną i szkołę średnią i zapisać się odrazu na uniwersytet. Miast szkoły wyższej dajmy ludziom, łaknącym wiedzy, ale do chłonięcia nauki w najwyższej formie nieprzygotowanym, wiadomości elementarne. Tylko niech to będzie szkoła solidna, owiana chęcią doskonalenia się ustawicznego, przekształcania się w coraz doskonalsze typy.

Chcąc dziecko lub prostaka zainteresować, wychodzi nauczyciel lub wykładowca od kręgu jego zainteresowań, od rzeczy jemu znanych i bliskich. W tem leży cały sekret naszego *regjonalizmu*. Można postępować inaczej. Można w cieplarni hodować egzotyczne krzewy, lecz kilka palm pod szkłem nie zamieni ugoru w kraj żyzny. Naodwrót, tam gdzie ziemia dobrze uprawiona, znajdzie się i sad, znajdzie się i palmiarnia. Prawdę tę zrozumiano nietylko u nas, ruch regjonalny obejmuje cały kraj. Dość wspomnieć *Czartak*, grupujący poetów beskidzkich, krakowską *Gazetę Literacką*, Pomorski *„Gryf“*, *Zaranie Śląskie* i *Rocznik Lubelski*. Poprzez regjon do narodu, od regjonalizmu do kultury i sztuki ogólnonarodowej — oto nasza „metoda“, nasz „system“. Uważamy, że budząc do życia siły duchowe regjonu, stanowiąc jeden z ośrodków realnej i konkretnej pracy umysłowej, przyczyniamy się do „organizowania wyobraźni narodowej“ — *działamy według najlepszych sił dla Państwa*, spełniamy na swoim odcinku pracę dla dobra Polski. Oczywista nie chciałbym usuwać konsumenta literatury poza zasięg wpływów poza — czy nadregjonalnych. Tak, jak obywatelowi kantonu szwajcarskiego praca społeczna w obrębie małego państewka nie tylko nie przeszkadza, lecz pomaga kochać i ubóstwiać Federację, tak zainteresowania życiem umysłowem, literaturą i sztuką regjonu nie przeszkadzają, owszem pomagają do zrozumienia prądów ogarniających cały kraj.

Dla twórców wreszcie może być praca w regjonie *odskocznią talentu* i *polem próbnych popisów*. Wiadomo przecież, jak trudno nawiązać kontakt nieznanym z koterjami literackiemi stolicy, jak ciężko przełamać mur uprzedzeń. I tu naturalnie genjusz znowu jeden etap przeskoczy, dla ogółu twórców jednak wstępna praca w regjonie wydaje mi się koniecznością. A przytem, czyż *znamię pewnej formalnej i ideowej odrębności* nie wyjdzie poetom i malarzom na dobre, czy nie uchroni ich od uniformistycznego szablonu, czy nie pomoże im znaleźć własnej i swoistej drogi? I Dante, i Mickiewicz, i Kasprowicz posiadają sporo cech regjonalnych, mimo nadniebnego pędu i lotu. Pierwiastki regjonalne w tworzywie tych tytanów czynimy przedmiotem studjów i dociekań, dlaczego mielibyśmy młodym uczniom Apollina zabraniać *świadomego* kształtowania rodzimych cech, wyrażania rodzimych tęsknot i rodzimych pragnień?

Mamy ambicję stania się poważnem pismem literackiem, lecz zdaje się nam, że droga ku temu — w naszych warunkach — prowadzi przez regjon, przez regjon Wielkiej Doliny — choć *nie kończy się* u granic naszego regjonu.

*

LEON WITKOWSKI:

KONCERTY SYMFONICZNE CZY OPERA?

Po skończeniu koncertów symfonicznych. Symfonika a Opera. Haec facienda, illa non omitenda. Niepotrzebny rekwizyt. Kogo gościliśmy na koncertach symfonicznych? Mniej monopolu. Ważna misja.

Czy utworzenie stałej instytucji koncertów symfonicznych w Poznaniu r. 1931 było celowe i potrzebne?

Dwa pierwsze sezony działalności tej instytucji zdawały się dać na to pytanie już zdecydowaną odpowiedź. Publiczność poznańska, wypełniająca prawie na każdym tegorocznym koncercie symfonicznym salę Teatru Wielkiego po brzegi, złożyła dowód, że uznaje potrzeby tych koncertów i chętnie je popiera, o ile tylko poziom ich artystyczny będzie odpowiedni, — a ceny biletów wstępu na nie, (co w dzisiejszych kryzysowych czasach dla każdego jest bardzo ważne) przystępne, tak, jak to zresztą obecnie u nas ma miejsce.

Równocześnie siłą rzeczy wysuwa się druga kwestja, tj. sprawa istnienia w mieście naszem Opery. Orkiestra symfonicza, powstała w r. 1931 na gruzach dotychczasowej Opery, okazała, że jej groźną rywalką nie jest, jak to powszechnie mniemano. Okazuje się, że obok audycyj symfonicznych, może i winna iść równorzędnie działalność operowa, będąca niemniej od poprzedniego ważnym i potrzebnym czynnikiem, kształcącym naszą publiczność na niwie muzycznej. Przecież również i przedstawienia operowe bywają frekwentowane w mierze najzupełniej zadawalniającej. Jedna i druga instytucja mają więc już swą stałą publiczność.

I oto, sama przez się, siłą faktu rozwiązana została kwestja, która w swoim czasie (rok 1931) tak zawziętą polemikę prasową w mieście naszem wywołała: sprawa istnienia Opery czy koncertów symfonicznych. Okazało się bowiem, że jedno i drugie ma swe słuszne prawo istnienia; chodzi tylko o racjonalne ustosunkowanie ilości spektaklów operowych (których w bież. sezonie mamy 2 w ciągu tygodnia), do audycyj symfonicznych (w ciągu miesiąca 6 do 7, a ostatnio 4 do 5, nie licząc audycyj szkolnych). Pominąwszy bowiem okoliczność, że imprezy te odbywają się w jednym i tym samym gmachu (tj. w Teatrze Wielkim), zwrócić należy uwagę przedewszystkiem na to, że we wszystkich tych imprezach udział bierze ta sama orkiestra. Zbyt wielka zatem ilość tych produkcyj niewątpliwie ujemnie wpływać musi na ich poziom. Skonstatować to mogliśmy nieraz i u nas, (choć w nieznacznej naogół mierze), szczególnie w niektórych produkcjach operowych. Brak czasu na należyte przygotowywanie utworów odbić się musi mniej lub więcej ujemnie na poziom wykonywanych audycji symf. czy spektakli operowych. Pozatem zdaniem naszem byłoby wskazanem zredukowanie działu operetkowego w Teatrze Wielkim. Dział ten pod względem muzycznym jest naogół wątpliwej wartości i zasadniczo do tak poważnego przybytku sztuki, jakim jest i powinien być Teatr Wielki, nie należy. Pomyślany on był w swoim czasie jako ratunek finansowy dla zawsze deficytowej Opery. Doświadczenia jednak ostatnich lat, a szczególnie roku zeszłego, uczą nas,

że prowadzenie działu operetkowego wymaga dosyć znacznych nakładów pracy i pieniędzy, a nie daje bynajmniej odpowiednich rezultatów „kasowych", na które jest obliczone. Zniesienie tego działu w Teatrze Wielkim odciążyłoby i orkiestrę i dyrekcję tegoż Teatru, a artystycznie nie wyszłoby na szkodę naszemu życiu muzycznemu. Słusznem też było zredukowanie w ostatnim czasie ilości koncertów symf. z liczby 6 — 7, na liczbę 4 — 5 na miesiąc. Gwarantuje to wyższy poziom tych produkcyj, a równocześnie zmniejsza znacznie koszty z niemi związane. — Wartoby także pomyśleć o utrzymaniu stałego zastępu słuchaczy tych koncertów przez wydawanie biletów abonamentowych itp.

Jeśli chodzi o bliższą ocenę artystyczną koncertów symfonicznych tegorocznego sezonu, to dana ona była każdorazowo w odpowiednim czasie i miejscu w czasopismach fachowych lub dziennikach miejscowych. To też nie tu miejsce je ocenić; ograniczymy się więc tylko do kilku uwag.

Niewątpliwie korzystnem było zarówno dla zadowolenia zainteresowań publiczności jak i dla pogłębienia i rozszerzania działalności artystycznej Orkiestry Symfonicznej częste sprowadzanie na występy w naszem mieście mniej lub więcej znanych artystów, solistów i dyrygentów, tak polskich jak i zagranicznych. Dało to nam możność zapoznawania się ze sztuką odtwórczą innych środowisk muzycznych, (szczególnie stolicy), jak też porównywania polskiej sztuki odtwórczej z zagraniczną. Słyszeliśmy cały szereg pierwszorzędnych artystów zarówno w dziedzinie gry skrzypcowej (Flesch, Szeryng, Vecscy itd.), fortepianowej (Backhaus, Friedman, Lamond, Petri itd.), wiolonczelowej (Boldowino, Mainardi), jak i śpiewu (Ada Sari, Bandrowska, Dębicka itd.) oraz wielu wybitnych solistów na innych instrumentach. Z dyrygentów gościli u nas m. i. Fitelberg, Treccia, Georgesco, van der Pals, Reiter, Stermicz, Wiłkomirski, Wolfstal itd., których nazwiska same za siebie mówią. W szczegóły tu oczywiście wchodzić nie można, gdyż, jak już wspomnieliśmy, nie tutaj na to miejsce ni pora.

Jeśli chodzi o program tych koncertów, to widoczne tu było systematyczne zaznajamianie nas z celniejszemi utworami muzyki zagranicznej, tak dawnej, jak i należącej do „klasycznego" repertuaru, nowszej i najnowszej. Specjalnemi względami cieszyła się u nas zupełnie słusznie twórczość polska, a czterokrotnie odbyło się u nas pierwsze wogóle wykonanie utworu kompozytora polskiego (Szymanowskiego, Wojtowicza, Poradowskiego, Opieńskiego). Świadczy to chlubnie o aspiracjach artystycznych dyrekcji koncertów symfon., pragnącej dać słuchaczom możliwie szeroko zakreślony repertuar muzyki dawnej, przy równoczesnem zapoznawaniu ich z twórczością nowszą i najnowszą.

Chcielibyśmy jednak wyrazić i pewien żal w stosunku do kierowników koncertów symfonicznych: Czyż nie należałoby pamiętać o angażowaniu sił odtwórczych, zarówno artystów wykonawczych, jak i przedewszystkiem dyrygentów polskich, tak zamiejscowych, jak i szczególnie miejscowych, w większej liczbie i w większym wyborze? Słyszeliśmy w bieżącym sezonie koncertowym właściwie tylko jednego dyrygenta miejscowego,(drugi wystąpił tylko raz jeden), a przecież — nie ujmując bynajmniej osobie tego dyrygenta, — mogliby się publiczności naszej przedstawiać i inni artyści — dyrygenci, których w naszem mieście przecież nie brak. Wpłynęłoby to niewątpliwie korzystnie na zainteresowanie się publiczności jak i na popieranie zdolnych a chętnych do pracy artystycznej muzyków.

W końcu słów kilka nadmienić wypada o bardzo ważnym czynniku w rozwoju naszego życia muzycznego. Nasza orkiestra symfoniczna, w porozumieniu z Kuratorjum Szkolnem, urządza (przeciętnie 3 do 4 razy na miesiąc) audycje symfoniczne wyłącznie dla młodzieży szkolnej, poprzedzane objaśniającem daną audycję słowem wstępnem. Nie wchodzimy tutaj w kwestję racjonalności czy celowości obecnej ich struktury. Wystarczy stwierdzić sam fakt, że na odcinku tak skądinąd zaniedbanym, jakim jest obecnie u nas nauka muzyki w szkołach nie-muzycznych, audycje te mają do spełnienia nader doniosłą rolę. Winne one kształcić młodzież na tak ważnem polu wychowania, — a równocześnie przysporzyć liczne grono stałych słuchaczy koncertów symfonicznych, mogące zapewnić szerokie poparcie tej bardzo pożytecznej i potrzebnej w naszem mieście placówki kulturalnej.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

PRZEDWOJENNY CIĄG MŁODZIEŻY WIELKOPOLSKIEJ DO KRAKOWA

Wyjazd mój w pierwszych dniach listopada 1905 z Kosowa do Wschowy, by w tamtejszej preparandzie przygotowywać się do zawodu pruskiego nauczyciela, zetknął mię pośrednio z prądem, o którego istnieniu nie zdawałem sobie uprzednio sprawy. Po kilku zaledwie tygodniach pobytu we Wschowie na stancji u p. Formanowiczowej, wdowy po pierwszym moim nauczycielu w Siemowie, otrzymałem list od ojca z zapytaniem ze strony proboszcza parafji mej w Starym Gostyniu, czy zważając na niebezpieczeństwo zgermanizowania się i stracenia życia na pracy dla Niemców, nie zechciałbym poświęcić się powołaniu kapłańskiemu i w tym celu pojechać do jednego z zakładów polskich w Krakowie. Tydzień, który sobie 14-letni absolwent szkoły powszechnej w Siemowie,zarezerwował na ostateczną odpowiedź, przekreślającą zamierzenia pedagogiczne, należał w jego życiu do najbardziej filozoficznych, wprowadzając w nieporadną chłopską główkę wielki materjalistyczno - idealistyczny zamęt. Przeczulona świadomość ciężkich przewinień i echa pobożnych kazań, szczególnie na misji, odprawionej niedawno przez OO. Redemptorystów w Borku pod Gostyniem, wywołały pożądany skutek. List młodzieniaszka, donoszący o przełomie, kończył się sentencjonalnie: I cóż uzyskał człowiek, zyskując świat, gdyby utracił duszę swoją?

Nawiązanie korespondencji z Małem Seminarjum Księży Misjonarzy w Nowej Wsi Narodowej pod Krakowem, ustalenie ceny 400 koron austrjackich rocznie za naukę i utrzymanie w konwikcie, przygotowanie wyprawy ściśle wedle nadesłanego z Krakowa spisu zajęło parę tygodni czasu. W czasie Świąt Bożego Narodzenia dostałem się w wir tych przygotowań: ilość bielizny dziennej i nocnej, jakość i krój pościeli, znakowanie jej i numeracja oszałamiały najbardziej dystyngowane składy konfekcyjne Gostynia. Krawiec zaś Wójcik w Lubiniu, który dotychczas był dostawcą odświętnych moich ubrań, znalazł się w nielada kłopocie, jak wybrnąć z załączonych wzorów i spreparować mundurek gimnazjasty galicyjskiego. Dzieło, które wyszło z pod jego igły, miało mi zatruwać przez parę lat życie moje w zakładzie, stanowiąc przedmiot drwin bardziej burżujskich kolegów.

Wyjazd w marcu 1906 r., widok zielonego, dolnego, a potem czarnego węglowego Śląska, pierwsze uderzenie obuchem w głowę przy wizji Wrocławia, perypetje, gdy ojciec i ja, obładowani ową nieszczęsną wyprawą, kołdrami i poduszkami, niezdolni

JÓZEF BIRKENMAJER:

Z POZNANIA (ROK 1914)

1.

Mrok szary już ziemię osłania.
a pociąg z łoskotem wciąż sunie...
Majaczą wieżyce Poznania
w światełek poblasku i łunie.

Ogromnaż to iluminacja —
jak gdyby na nasze witanie! —
Bo wkrótce zakrzykną nam: „Stacja!"
a pociąg zazgrzyta i stanie.

Tak, Poznań! polskości kołyska!...
o, miasto nieznane — choć znane!
dziś p o z n a ć cię będę mógł zbliska,
dziś pierwszy raz w murach twych stanę!

Lecz patrzę smutnemi oczyma
i myśl mnie do smutku pobudza,
że gdy się tu pociąg zatrzyma,
to nazwa twa zabrzmi — jak cudza.

Że miano twe — jako tu wszędy —
konduktor z niemiecka zniekształci,
a odkrzyk niemieckiej komendy
me ucho brutalnie pogwałci...

Świat cały się nurza w pół-drzemce,
nad miastem mgła snuje się szara...
Naprzeciw mnie drzemią dwaj Niemcy
i kopcą paskudne cygara...

2.

Idą pruscy żołnierze — długim, równym marszem —
sprężyści, tresowani w mustrze, niemarudni.
Idą — pychą potęgi krok ich każdy dudni,
a każda im komenda brzmi — słowem monarszem.

Choć patrzę na nich zdala — bo z okna na piętrze —
przecież profile twarzy widzę najwyraźniej.
Zdają się skamienieli w rysach i żelaźni —
a rysy ust się zdają jakby najzaciętsze.

Płyną wciąż pikelhauby, granatowe bluzki —
myśl moja, jak zdeptana, po bruku się toczy...
A kiedy wreszcie przeszli i gdym podniósł oczy,
błękit nieba wyglądał jakby błękit pruski.

3.

Na wieży ratuszowej, na najwyższym szczycie
Poznania, biały orzeł obrał swe mieszkanie,
jako nad siołem gniazdo się wznosi bocianie,
błogosławiąc mieszkańcom w złym i dobrym bycie.

A choć widział pożogę, klęskę i rozbicie,
lecz lotem swym zwiastował triumf i wytrwanie.
Wierzył, iż w jego gnieździe wróg go nie dostanie —
że wiecznie on tu będzie panem na błękicie.

I odetchnął tu, zdala od męki i ciżby,
powietrzem polskiem — wolnem... Lecz przebóg!...
podniebnym nawet lotom narzucono pęta? [o, czyżby

Na ten ratusz, przez polskich królów postawiony,
czarny orzeł zdradziecko zarzuca swe szpony,
podrzucając swe czarne kukułcze pisklęta.

---

rozmówić się po niemiecku, biegaliśmy po olbrzymich halach dworcowych, wreszcie zbliżenie się do wzgórz przedkarpackich i przybycie do Krakowa należą do najsilniejszych wrażeń mego życia. W jedną całość z niemi złączyły się pierwsze triumfy, kiedy jeden profesor po drugim, a byli to przeważnie młodzi, sympatyczni księża, stwierdzali niezłe moje do klasy I przygotowanie. Nie odrazu zdałem sobie sprawę, że przy moim posuniętym wieku, było to aż nazbyt naturalne. Wiadomość o zaliczeniu semestru powielkanocnego za cały rok szkolny poleciała skowrończemi skrzydły do domu rodziców.

Szły tam równocześnie zapewnienia, że nie jestem w zakładzie sam, że znalazłem w nim mnóstwo rodaków z całej Wielkopolski. Wśród kolegów tylko kilku jest z Galicji, przeważnie wypędki z tutejszych gimnazjów, leniuchy, z którymi rodzice sobie poradzić nie mogli inaczej jak tylko oddając ich pod surową karność księżego zakładu, trzech czy czterech przyplątało się z obszaru Kongresówki zarówno od Miechowa jak z Warszawy, dużą ilość stanowią chłopcy z Górnego Śląska, od Katowic, Swiętochłowic, Radzionkowa, wogóle z pośród rodzin górniczych, większość jednak stanowią Wielkopolanie, choć nie we wszystkich klasach. Ja mam towarzyszów z Żerkowa, z Bonikowa pod Odolanowem, z Wolsztyna, Poznania, Mogilna, przeważnie nie ze wsi coprawda, lecz miast.

Trzy pełne lata niższego gimnazjum, dwa seminarjum, dalsze klasy gimnazjalne aż do matury w r. 1913, poczem teologja i pierwszy rok Wielkiej wojny były okresem ścisłego współżycia mego z rodakami nad Warty, Noteci i Obry. Był to pierwszy czas poznawania Wielkopolski za pośrednictwem kolegów, z mapy, z listów, opowiadań, pocztówek. Każdy propagował zacność i dobre imię swego regjonu. Choć rzuceni do stóp Wawelu, choć na przechadzkach czwartkowych krążący przeważnie na Błoniach, na Zwierzyńcu, wokół Kopca Kościuszki, pod Bielanami, Bronowicami myślą wracaliśmy ustawicznie do kraju Wielkich Dolin, gdzie wszystko było inne, swojskie, nasze, lepsze niż to galicyjskie środowisko, w które wpędziła nas niemożność i niechęć opłacania czesnego w gimnazjach niemieckich Wielkopolski. Na olbrzymiem podwórzu zabawowym w Nowej Wsi, później w ściśle zamkniętym wirydarzu kleparskim przy ul. św. Filipa, wreszcie w przepysznym ogrodzie, obok starego gmachu macierzystego, wznoszącego się na dawnych posesjach Wielkopolskich na Stradomiu niejedną stoczyliśmy walkę w dyspucie o pierwszeństwo Księstwa, które reprezentowali w Zgromadzeniu najwybitniejsi dostojnicy, jak wizytator Kiedroński, zacny staruszek i znany ongiś kaznodzieja, młodszy od niego, nad wyraz energiczny człowiek czynu ks. wizytator Słomiński, szereg superjorów i wykładowców, między innemi dyrektor nasz i profesor łaciny i greki, ks. Józef Krauze.

Porą, dokonującą szczególniejszego zbliżenia między rodakami z jednej prowincji, były wakacje lipcowo-sierpniowe, póki po przywdzianiu sukienek nie byliśmy zmuszeni spędzać ich w rezydencji letniej w Krzeszowicach. Podróże, przedsiębrane do miejsc rodzinnych tego i owego krajana, były źródłem bliższego poznania swej prowincji. Szczególnie upamiętniła mi się podróż z r. 1916 z Kosowa przez Jarocin, Wrześnię, Inowrocław do eks-konfratra, pełniącego obowiązki wikarjusza w Kościelcu na Kujawach. „Sonety inowrocławskie" zawierają z tego okresu „Kolegjatę", „Wenecja nad Brdą" wydana w r. 1932 szereg młodzieńczych prób. Mimo przysłowiowej aliterackości Wielkopolan sporo z nas „tworzyło". Organem naszym był „Meteor", miesięcznik, który właśnie obecnie obchodzi 25-lecie

swego istnienia. W rocznikach jego 1908—1914 znaleźć można długą listę poezyj, nowel i rozpraw naszej wielkopolskiej młodzi. Prym dzierżył między nami wrześnianin, któremu sam w kunszcie pisarskim wiele zawdzięczam: Wacław Jęczmionka, znacznie od nas starszy, bywalec po świecie, z dłuższym pobytem u ks. ks. Salezjanów w Turynie, głowa oryginalna, pióro cięte. Przyjaźnią i listami Kasprowicza szczycił się kolega Musioł z Szymborza, autentyczny współplemiennik wielkiego poety; sam rymotwórca zapalony. Z nad jeziora Wenecji w powiecie żnińskiem pochodzii kolega Lucjan Wilhelmy, natura szczerze elegijna. Mogilno reprezentował kolega Hieronim Feicht, dziś chluba polskiej muzykologji, obecnie superjor domu misjonarskiego w Bydgoszczy, Trzemeszno jeden z młodszych, poległy w roku 1915 na froncie francuskim. W kl. IV prowadziliśmy pisemko „Nasze Kółko", które zainicjował Kaszuba, Józef Kawczyński, obecny wicedyr. Izby Przemysłowo - Handl. w Gdyni: wypełniali je artykułami ruchliwi Wielkopolanie. O przyjaźni decydowała zresztą nie przynależność do konfraterni piszących, lecz sympatje osobiste. Nie zapomnę nigdy Kacbelskiego z Łabiszyna („Na Pałukach", sonet, str. 52) ani Noja z Krajny. Z powodu otwartej gruźlicy musiało go kierownictwo szkoły odesłać już z III kl. do domu: nadmiar dobrych chęci, a brak zdolności czyniły z niego męczennika. Przedśmiertne jego listy z jakiejś wioski z pod Wyrzyska zamąciły mi na Nowej Wsi niejeden dzień.

Garść uwag o jednej komórce promieniotwórczej, jednej krakowskiej szkole średniej, kierowanej przez księży oświetla bardzo niedostatecznie ten wyrój młodych ludzi z Wielkopolski do Krakowa. Takich szkół, takich zgromadzeń było wiele: członkowie ich i uczniowie rekrutowali się z obficie roz ›dzonych rodzin zPoznańskiego. Kto bogatszy, bardziej narodowo uświadomiony, komu noga powinęła się w gimnazjum niemieckim, uciekał do gimnazjum i na uniwersytet krakowski. Biedota, wieś, drobne rzemiosło wysyłało swe latorośle w cień świątyń krakowskich, do polskiego Rzymu, żyjącego w przeważnej części z szkolnictwa prywatnego, zasilanego przez oddane Kościołowi niziny społeczne Śląska i Wielkopolski.

Na mym własnym, gostyńskim rejonie odczułem w ciągu 10 lat mego pobytu w zakładach naukowych ks. ks. Misjonarzy ruch tej potężnej fali kulturalnej. Byłem pierwszym chłopcem wiejskim, który poszedł do gimnazjum z chałup kosowskich: w przeciągu paru lat zjawiło się u mego boku dwóch kandydatów, obydwaj z czworaków dworskich, oraz dwie zakonnice, jedna córa gospodarska, moja kuzynka, i jedna „z pod pana", furszpanówna. W tymże czasie zjawiło się dwóch młodzieńców z Gostynia, poczem trzeci, czwarty. Kraków widniał ponad głowami głęboko religijnego ludu wielkopolskiego z przed wojny jak pochodnia wiary, dzwony jego kościołów trafiały w każde osiedle i nęciły do swych ołtarzy dusze młode a żarliwe. Nie znam wypadków dziewczyn, by powracały do domu. Zdolne były po 40 lat w surowej ascesie przepędzić. Gdy stanąłem po raz pierwszy u żelaznej kraty w furcie klasztoru Sióstr Wizytek w Krakowie, gdzie przed laty 30 kuzynka mej matki, Barańska, dokończyła świątobliwego żywota, zrozumiałem podświadomie magiczną siłę, która mnie w mury klasztorne przywiodła, by po latach ulec sile Wielkiej Wojny i świata. Inowrocław, styczeń 1933.

DR. ANDRZEJ WOJTKOWSKI:

PRZYCZYNEK DO LAT DZIECIĘCYCH JANA KASPROWICZA

Przeczytawszy w numerze 3 „Wici" (1933) „Zapiski rodziny o Janie Kasprowiczu", podane przez d-ra Stan. Helsztyńskiego, zdecydowałem się przesłać Redakcji poniższą notatkę:

Przed 25 laty grono gimnazjastów ostrowskich, pod wodzą kolegi Aleksandra Kubika, obecnie proboszcza w Konojedzie i doktora praw, urządziło pieszą wycieczkę wakacyjną z Poznania do Inowrocławia. Po drodze przyjmowano nas bardzo życzliwie: w Wierzenicy hr. Augusta Cieszkowskiego, w Węglewie u rodziców sławnego prehistoryka, Józefa Kostrzewskiego, we Wronczynie itd. Odwiedziliśmy także matkę i siostrę Jana Kasprowicza w Szymborzu. Matka opowiadała nam wiele o poecie i dała niektórym po jednym liście jego na pamiątkę. Wątpię, czy który z tych listów, tak hojnie rozdawanych, ocalał. Wszak wszyscy niedługo potem rozbiegliśmy się po niemieckich miastach uniwersyteckich, a od roku 1914 do 1921 wojowaliśmy na różnych frontach. Mnie w owych latach przepadła moja bibljoteczka studencka w Berlinie. Tyle tylko sobie przypominam, że list mnie darowany, pisany był z Włoch. Wyrażał w nim poeta p. i. żal, że ojciec jego nie doczekał się już sławy swojego syna...

Z opowiedzianych przez matkę szczegółów z życia poety przypominam sobie tylko dwa. Razu pewnego mały Janek, pasąc na pastwisku bydło, wbił sobie szpilkę w kolano tak głęboko, że nie mógł jej sam wyciągnąć. Wytrwał jednak bohatersko na posterunku, ale wieczorem nie mógł już o własnych siłach wrócić do domu. Musiał go ojciec przynieść na plecach. — Gdy już chodził do gimnazjum, matka szyła mu nadal sama ubrania. Lecz spodnie były zwykle tak fatalnie skrojone, że Janek stawał się pośmiewiskiem kolegów. W rozmowie Kasprowiczowa często wyrażała obawę, czy syn jej nie jest czasem socjalistą. Uspokajał ją kol. Kubik.

W marcu r. 1919, po odsieczy Lwowa, pierwsza kompanja ochotnicza poznańska była uroczyście przyjmowana przez związek Wielkopolan we Lwowie. Wczasie przyjęcia przemówił do nas ogniście Jan Kasprowicz. Nie przypominam sobie nic z tego przemówienia, oprócz zwrotu *„par excellence"*, który Kasprowicz lubił powtarzać. Może przypomną sobie co z tego inni uczestnicy owego przyjęcia, np. p. Dr. Irena Pannenkowa, która rozdawała nam jedną z swoich książeczek, zdaje się o Kościuszce. — Zjawienie się kompanji poznańskiej pod Lwowem było dla oblężonego miasta wielkiem wydarzeniem. W „Informacyjnem Kalendarzu nauczycielskim na roku 1920" (Poznań, 1919), znajdujemy na str. 33 pod datą 14. marca 1920 przypomnienie dwóch rocznic: „† Ignacy Krasicki 1801 w Berlinie. Komp. Poznańska staje pod Lwowem 1919".

JAKÓB WOJCIECHOWSKI:

LIST DO REDAKCJI

Proszę Redakcji o umieszczenie mego podzękowania panu Alfredowi Jesionowskiemu, który tak wiele czasu poświęcił w „Wici" z lutego 1932 r. i opisał p. t. Filozof z pod Strzechy. Nie stety zapłozno mi Wici nadeszły, nie dawno temu miałem te okazyią przejezdzania przez Wrześnią i złozynia wizyty p. Redaktorą i osobiście złozyć podzękowanie za tak obszernę pismo i za te uwagi ktore były dla moj książki pt. „Raz kiedyś a obecnie" poswięcone. A zwłaszcza to miasteczko Września mi nigdy spamięci nie wydzie. Osobiście obrocz Dworca wtem miasteczku nie

byłem ale znam Wrześnią z historyi strajku Szkolnego. Gdy się znajdowałem na obczyznie stanyłem w Szeregach ktorzy mieli zamiar udać się do Wrześni aby stanąć w obronie tam tejszych walczących obywateli. A gdy prasa niemiecka jak błyskawica się rozniosła o zaścił w Wrześni to już na obczyźnie na kazdego polaka nie chętnie Niemcy spoglądały i naszą polskość nam za rzuczały, a i my im na to naszą piosęką odpowiadali „Wir sind Polacken mit rote Jacken" i t. d. a konczyli mi te piosękę „Wir leben und sterben für Polentum". W tem duchu my żyli i umierali na obczyznie, a oto dzisiaj jeszczy nie upłynyło trzydrzesci lat temu a to miasteczko stało się tak szczęsliwem że się wniem dzisiaj miesci siedziba Wici Wielkopolskich ktore mają na celu stać na strazy i skupic w naszę pokolenia teraznięjszę i młodzę ducha polsko narodowego i patryotecznego. Jezem przekonany ze nasz polski narod ktory szukał pracy i chleba po zagranicami swoj polskiej ziemi nigdy nie utracił ducha polsko patryotecznego i narodowego i mimy zaufanie że i naszą pozniejszę pokolenia nie będą zapominac otem że jch Ojcowie musieli szukać chleba po zagranicami. Jak to juz wubiegłem roku napisałem pt. Ostrow,Ostrzeszewo i okolice. Jak obywatele tych okolic się na obczyznie dorabiali aby mieć na stare swoje late własną choć tylko małą chatkę aby nie padać ofiarą jaki kolwiek łaskawiźnie. A dzisiaj musiemy się przyglądac jak te młede siły marnują swoj młedy wiek nie mają pracy i zatrudnienia, stoją na ulicach i są wdrodze sami sobie i innem przechodzącem. Serce mi się kraje gdy na nich spoglądam. A zapewno było by bardzo pozytecznem gdy by się nasza cała prasa cokolwiek niemi pofatygowała i pomyslała o naszy przyszłeści. Ja jaka robotnik moge to naj lepi osądzic bo poswięcam sobie wiele czasu i zaglądam do tych naj bardziej Ubogiech chatkow. Nie raz mi łzy w oczach staną gdy spoglądam na te biedne i nie odzywione dzieci ktore mają być Filarem naszy Polski. Wezme tylko pod uwage jedne Wies ktora dawni słynyła na całe okolice nie było wty Wsi ani jednego ktory by nie miał swoj własności. A gdy po kilkanastu latach powruciłem do ty samy Wsi to zboleniem serca musiałem stwierdzic że smutek ogarny te Wies a jeszczy większę smutki będą przychodzić. W ty Wsi Gospodarze rolni pokrajali swoje dobra dla synow i córkow wybudowali kilka Domow mieszkalnych wybudowali względnie powiększyli Karczme. Nowy kościół bardzo sliczny budowy. Nową szkołe obok ty stary ktora swych uczni nie mogła pomieścić. Dzisaj juz jest nie mozliwe aby te gospodarki rolne jeszczy na mniejszę krajac, ziemi więcy nie przybywa. Emigracja jest wszczymana a tych synow i zięciow tyle się na gromadziło że mam obawe te lidzbe na pisać, ze takie wielkie bez robocie jest wty szczęsliwy Wsi zapewno się zaden nie spodziewał ze takie smutki ogarną te tak szczęsliwą wioskę, a co będzie dali i jak będzie pozni wty wsi wyglądało?

Barcin, 7. 4. 1933.

GIECZ — STARY GRÓD

Im dalej myślą cofamy się w przeszłość, w tem bardziej tajemniczy i odmienny od naszego wstępujemu świat, tem mniej napotykamy faktów znanych i niezbitych, w tem bardziej nieznane i ciemne wkraczamy wieki. Lecz w tym pewnego rodzaju egzotyzmie historycznym i w tym półmroku, który otacza odległe czasy leży właśnie urok przeszłości, który pociąga historyka do badań, poetę do ożywienia chwil zamarłych swoją fantazją. Dużo takiego uroku ma Giecz, jedna z najstarszych miejscowości w Wielkopolsce, dziś malutka wioska, ongiś potężny gród piastowski.

Dzisiejsza wioska Giecz, dawniej zwana także Gdeczem, leży mniejwięcej w odległości 30 km na wschód od Poznania, w powiecie średzkim. Za czasów piastowskich był Giecz warownym grodem książęcym, jednym z najważniejszych w dawnej Polsce. Słowo „gród" nie oznacza jednak bynajmniej miasta, jak to się zwykło mniemać. Miast w ścisłem tego słowa znaczeniu nie było w ówczesnej Polsce, stworzyła je dopiero kolonizacja niemiecka w wieku XIII. Gród w owych czasach oznacza tylko warownię, zamek. Grody takie rozsiane po całym kraju, szczególnie nad granicami państwa były punktami strategicznemi, obronnemi, a zarazem ośrodkami zarządu pewnych części kraju: kasztelanij i opoli. Kasztelanja była podstawą podziału wojskowego kraju, opole zaś podstawą podziału administracyjnego. Być może, że obszary kasztelanij i opoli czasem ze sobą się pokrywały, szczególnie, gdy siedziba jednej i drugiej władzy znajdowała się w tej samej miejscowości. Tak np. Gdecz był zarówno ośrodkiem kasztelanji, jak opola (t. zw. czoło opola). Dokładnych granic dawnej kasztelanji i opola gieckiego nie znamy, wiemy jednak, że kasztelanja giecka była bardzo obszerną; dzisiejsze miasto powiatowe Środa leżało w jej obrębie. Najdawniejszym, znanym nam kasztelanem gieckim był Mirosław z rodu Łodziów (wiek XIII).

Najdawniejsza wiadomość o Gieczu odnosi się do czasów Bolesława Chrobrego, czyli do początku wieku XI. Mianowicie kronikarz Bolesława Krzywoustego t. zw. Gall-Anonim mówi, że z Gdecza stawało do armji Chrobrego 300 pancernych czyli jezdnych i 2000 szczytników czyli pieszych z tarczami (szczyt — wyraz staropolski oznacza tarczę). Nauka współczesna rozumie tę wiadomość tak, że Giecz i trzy inne grody przez Anonima wymienione (Poznań, Gniezno, Włocławek) uważa się za punkty zborne, w których to na wezwanie królewskie zbierała się podana przez Anonima ilość wojowników, nie zaś, by taka ilość wojska stale w grodzie przebywała lub, by ludność samego Giecza dostarczała tylu wojowników. (T. Korzon: Dzieje wojen i wojskowości w Polsce.)

W r. 1038 w czasie zamieszek po śmierci Mieszka II napadł na Polskę książę czeski Brzetysław i zapuścił się aż do Wielkopolski, gdzie wraz z innemi grodami zburzył także Giecz. Jest wiadomość, że Gdecz poddał się najeźdzcy bez walki i że cała ludność została przesiedlona do Czech, gdzie w pobliżu Pragi nad rzeką Litawą utworzyła kolonję „Giedczan". Z tych przesiedleńców pochodził podobno czeski kronikarz Kosmas, który o tym fakcie wspomina.

Po tej klęsce gród został widocznie odbudowany, bo słyszymy o nim znowu w wieku XIII. Z tego czasu znamy z imienia kasztelana gieckiego Mirosława, o którym wyżej wspomniałem. U Długosza jest wiadomość, że na zamku gieckim Przemysław I wielkopolski zawarł w roku 1253 umowę z bratem swoim Bolesławem kaliskim i podzielił się z nim dzielnicą wielkopolską, przyczem Giecz otrzymał Bolesław.

Pod koniec wieku XIII Gdecz, dotąd własność książęca przechodzi tytułem darowizny w posiadanie niejakiego Tylona, kapelana Przemysława II. Później właścicielem Gdecza jest przez pewien czas kapituła poznańska, wreszcie archidjakonat przczewski.

Wiek XIII jest początkiem upadku Gdecza. Powody upadku są jasne. W miejscu dawnych grodów powstają w tym czasie miasta, jako ośrodki handlowe. Podczas, gdy inne grody przemieniają się w miasta, Gdecz tej ewolucji nie przechodzi, gdyż przeszkadza mu konkurencja pobliskiego Poznania i Gniezna. Ponadto w początkach wieku XIV wskutek reform Wacława czeskiego upada urząd kasztelański, którego Gdecz był siedzibą, i powstaje nowy urząd starosty. Na terenie kasztelanji gieckiej wypływa teraz inna miejscowość — Środa, siedziba starostwa (niegrodowego czyli t. zw. tenutowego) i później słynne miejsce obrad sejmikowych.

Dziś z dawnej wielkości Giecza niewiele pozostało. Najwartościowszym zabytkiem jest stary kościół romański pod wezwaniem Najśw. Marji Panny i św. Mikołaja. Zbudowany został on prawdopodobnie już w wieku XII z wielkich, ciosanych w kostkę kamieni polnych. Długosz zalicza go do kościołów, które według tradycji fundował Piotr Dunin ze Skrzynna (kościoły duninowskie). Budowla składa się z trzech części: półkolistej absydy, prezbiterjum i nawy. Dzisiaj jest ona dosyć zniekształcona, uzupełniona murowanemi lub drewnianemi przybudówkami. W przedsionku stoi z gruba ciosana, monolityczna chrzcielnica, równie dawna, jak cały kościółek. W r. 1713 kościół został zniszczony przez pożar, poczem odbudowany w r. 1777 ponownie uległ częściowej ruinie.

Tuż pod Gieczem, o paręset metrów na zachód leży malutka wioska Grodziszczko, której dzieje ściśle się wiążą z dziejami Giecza. Wznosi się tam wysoki, półkolisty wał ochronny, otaczający zapadły cmentarz i drewniany kościółek pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Kiedy ten kościółek powstał niewiadomo. Dzisiejszy jego wygląd datuje się od początku wieku XVIII. Od Giecza Grodziszczko jest oddzielone rzeczułką Żrenicą czyli Reśnicą, przepływającą przez teren bardzo grząski, dawniejsze widocznie trzęsawisko. W najdawniejszych czasach Grodziszczko, zdaje się, należało do grodu Gdecza, lecz już w wieku XIV jest miejscowością odrębną i należy do szlacheckiego rodu Dryjów z Chłapowa. Na pierwotną przynależność Grodziszczka do Gdecza wskazuje fakt, że prywatnych właścicieli Grodziszczka spotykamy dopiero w w. XIV, gdy i Gdecz już przestał być własnością książęcą, oraz, że

w źródle z roku 1240 cytowanem przez Kohtego kościół św. Jana, będący prawdopodobnie protoplastą dzisiejszego kościołka św. Jana w Grodziszczku ma dopisek „de Gdecz".

W odległości mniejwięcej 2 km na wschód od Giecza na gruntach wsi Dzierznicy wznosi się góra, zwana Górznem albo górą Ludgardy, dawniej także Kościeliskiem. Zdaje się, że to wzniesienie miał Długosz na myśli, opisując w I. księdze swego dzieła góry wielkopolskie. „Giec (Getheza), góra wysoka i obszerna między Gnieznem i Poznaniem, gdzie dawniej był zamek książęcy, dziś jest kościół" (tłum. Mecherzyńskiego). Bardzo nieścisłe jest wprawdzie określenie „między Gnieznem i Poznaniem", ale jak na wiek XV wystarczy. Gieczem nazwał Długosz tę górę zapewne dlatego, że za jego czasów do Giecza należała.

Otóż wyłania się teraz ciekawa kwestja: gdzie wznosiła się dawna warownia? Dwa miejsca przedewszystkiem wchodzą w rachubę: Grodziszczo i wspomniane co dopiero, dalej położone Kościelisko. Za Grodziszczkiem przemawia znajdujący się tam wał ochronny, bagniste otoczenie wału, wreszcie nazwa. Za Kościeliskiem natomiast przemawia wzmianka Długosza, że tu „dawniej był zamek książęcy, dziś jest kościół". Za czasów Długosza, w wieku XV zamek mógł już nie istnieć, mógł natomiast na jego miejscu wznosić się kościół, na co wskazywałaby także nazwa: Kościelisko. Mniemanie, że tam właśnie wznosił się zamek książęcy potwierdza ponadto fakt, że warownie średniowieczne zwykle wznosiły się na wzgórzach (Kraków, Poznań, Lwów i inne). Do dziś zresztą są tam widoczne wyraźne ślady fundamentów, trudno jednak wyrobić sobie z nich jakieś pojęcie o charakterze budowli, której są szczątkami. Tradycja ludowa również utrzymuje, że na Górznie znajdował się zamek, który się zapadł. Dane przemawiające za Grodziszczkiem osłabia natomiast fakt, że wałów ochronnych na grząskich miejscach położonych mamy dziś więcej niż dawniej było grodów i, że pochodzą one prawdopodobnie jeszcze z czasów Słowiańszczyzny Przedhistorycznej. Najprawdopodobniej więc dawny zamek, centrum grodu wznosił się na Górznie, pewności jednak tutaj niema. Nie jest również wykluczone, że znajdowały się tu dwie warownie obok siebie w nieznacznej stosunkowo odległości 2—3 km (X. Kozierowski.

Antoni Pospieszalski.

Bibljografja:

Kohte J. — Die Kunstdenkmäler des Posen.
Korzon T. — Dzieje wojen i wojskowości w Polsce.
Kozierowski St. — Nazwy geograficzne i osadźcy ziemi średzkiej.
Łukaszewicz J. — Krótki opis kościołów parochialnych, kaplic itd.

LISTY Z REGJONÓW

Z LESZNA

Leszno, przyłączone do Polski dopiero 17. stycznia 1920 r., odgrywało za czasów zaborczych wcale poważną rolę w życiu umysłowem Wielkopolski. Wystarczy powiedzieć, że tutaj znakomici pisarze drukowali swoje utwory (np. poeta Franciszek Morawski) i tu wychodziło lat kilkanaście słynne na całą Polskę czasopismo „Przyjaciel ludu" (od roku 1834—1849), gdzie umieszczali swe prace tacy uczeni i działacze narodowi, jak Popliński, Łukaszewicz, Libelt, Estkowski, krzewiciel ruchu narodowego na Górnym Śląsku Lompa, Moraczewski i inni, w tem czasopiśmie spotykało się wiersze i artykuły polemiczne emigracji polskiej we Francji.

Po przyłączeniu miasta do Polski gród nasz kresowy w ciągu kilku niespełna lat pozbył się obcego, narzuconego żywiołu i dziś, możemy to z dumą powiedzieć, jest jednem z najbardziej polskich miast naszej Ojczyzny.

Praca społeczna, umysłowa i narodowa zawrzała w całej pełni ju w roku 1920, potęgując się w miarę napływu inteligencji z różnych stron Polski i zagranicy. Przedewszystkiem zorganizowano szkolnictwo powszechne, średnie i zawodowe, powstało kilkadziesiąt stowarzyszeń i organizacyj, banków, kas oszczędności, Sokół, istniejący tu z przerwami od roku 1903, dalej Koło śpiewackie „Dembiński", Chór Chopina, Chór kościelny, Tow. Kobiet Pracujących, Tow. Młodzieży Męskiej, Tow. Młodych Polek, organizacje harcerskie, T. C. L., różne towarzystwa b. wojskowych i powstańców, Tow. Urzędników i T. N. S. W., które prowadzi do dzisiaj ożywioną działalność kulturalno-oświatową.

Warto również zauważyć, że w zbożnej tej robocie wspomagały walnie ruch umysłowy miasta oba pułki miejscowe, zarówno 55 p. p. jak i 17 p. u.

W tym okresie wygłoszono paręset wykładów, odczytów, pogadanek, urządzono szereg koncertów i to przeważnie miejscowemi siłami artystycznemi a sprowadzano też uczonych i solistów z Poznania a nawet z Warszawy.

W r. 1927 zorganizowano Nar. Uniw. Rob. (Nur), który urządził kilkanaście wykładów wieczornych dla miejscowej inteligencji. Przed kilku laty powstało u nas Tow. Mił. Muzyki, mogące się pochlubić szeregiem koncertów, nieustępującym wcale tym, jakie się słyszy w miastach stołecznych. Imprezy teatralne spoczywały jakiś czas w rękach Tow. Mił Sceny, które, niestety, przestało już istnieć.

Najwięcej bodaj zrobiło się w Lesznie w dziedzinie szerzenia i pogłębiania kultury muzycznej, około której krzątały się zarówno towarzystwa, organizacje, jak i osoby uprawiające muzykę po amatorsku.

Z pracowników oświatowych, związanych z Lesznem w tym dwunastoletnim okresie, wymienić należy dr. Świderskiego, jednego z naczynniejszych i najbardziej ruchliwych obywateli miasta, dr. Polewskiego, dr Trószyńskiego (lekarze), Karpińskiego, Subierskiego, Micisza, Paczorę, Perzyńskiego, ks. dr. Śpikowskiego, Tyczewskiego (pedagodzy), ks prob. Jonkiewicza, por. Olszewskiego i por. Dzidka.*)

Od r. 1920 wychodzi tutaj dziennik „Głos Leszcz." a od ubiegłego roku „Ilustrowany Kurjer Zachodni", zwalczając się wzajemnie na tle polityczno-osobistem. Kilka lat wychodziło czasopismo brukowe „Kurjer Powszechny", redagowane przez ciemne i niewyraźne indywiduum. Zaszkodziło ono wiele zbiorowemu życiu Leszna i rozbiło silne więzy społeczne ludności, przybyłej z najróżniejszych stron naszego kraju.

W Lesznie wydrukowano dotychczas broszurę ks. Kopczyńskiego „W pierwszą rocznicę oswobodzenia Leszna" (1921), pracę dr. Świderskiego „Ilustrowany opis Leszna i ziemi leszcz." (1928), powieść Zygm. Dolińskiego pt. „Niezwykły pomysł dr. Anapesta", „Jednodniówkę" harcerską, „Dziesięciolecie Leszna" i szereg pomniejszych rzeczy.

W ostatnich miesiącach zaczęło wychodzić w Lesznie czasopismo regjonalne „Ziemia leszczyńska", o czem się powie na innem miejscu.

Jak widzimy z tego niewyczerpującego i pobieżnego szkicu, życie umysłowe Leszna ma już poza sobą bogatą przeszłość a ponieważ wzrasta ono i pogłębia się z dnia na dzień, przeto można żywić nadzieję, że pograniczne miasto nasze stanie się bastjonem polskości na rubieżach zachodnich, którego nigdy już nie przekroczy chciwy i zachłanny gad krzyżacki.

Juljan Szpunar.

*) Do bardzo zasłużonych działaczy społeczno - oświatowych należy też nasz korespondent, prof. Juljan Szpunar. (Przyp. Red.)

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Czwarty rocznik „Kroniki Gostyńskiej"

Regjonalizm w powiecie gostyńskim ma już swoją poważną kartę. Nie zapomina o nim gimnazjum miejskie, poświęcając niejedną chwilę tej ważnej kwestji w czasie swych codziennych poranków, oraz określając indywidualność III klasy pod hasłem „Ziemi Gostyńskiej". Szerzy się w ten sposób pomiędzy młodzieżą kult dla dziejów regjonu, będącego przecież cząstką całości. —

Bezsprzecznie jednak najchlubniejszą kartę w tym swoistym obecnie ruchu ma ilustrowane pismo regjonalne „Kronika Gostyńska", wychodząca od dnia 26. XII. 1928 r. pod redakcją niestrudzonego badacza, dyrektora banku p. Władysława Stachowskiego, właściciela cennych zbiorów, mogących utworzyć małe i ciekawe muzeum. W redagowaniu ukochanego przez siebie pisma wkłada on nietylko dużo czasu, ale często dopłaca, byleby tylko zeszyt po zeszycie ujrzeć mógł światło dzienne. Pod jego redakcją wyszedł niedawno 40 zeszyt „Kroniki", zamykający IV serję tego zasłużonego wydawnictwa.

Mieszczą się w niej następujące prace:

1. „Szkoci w Gostyniu" — obszerna praca Wład. Stachowskiego (wydana w osobnej odbitce) — stron 47.
2. „W pamiętną rocznicę" — wspomnienia z życia ks. arcyb. Florjana Stablewskiego — Iry Stablewskiej (z dwoma rycinami) — stron $7^1/_2$.
3. „Szkice z dziejów Gostynia" — ks. kan. Stanisława Kozierowskiego — str. 13.
4. „Z dziejów kulturkampfu w St. Gostyniu" (kartka z pamiętnika) Józef Gans, gospodarz z Kosowa — stron 4.
5. „Z archiwum Sarbinowskiego" — Roman Czartoryski (stron $2^1/_2$).
6. „Po dziesięciu latach" — Iry Stablewska — wspomnienia ze strejku rolnego w r. 1932 — str. 4.
7. „Prawda historyczna — dr. Śliwiński, płk. rez. b. dowódca Grupy Leszno — obrazek z powstania Wlkp. — str. 2.
8. „Gostyńska pieśń ludowa" — Alfons Szyperski (zebrane pieśni z Wygody, pow. gost.) str. 4.
9. „Przyczynki do dziejów malarstwa w Gostyniu i okolicy" — Wł. Stachowski (4 ryciny) — stron 10.
10. „Wielkopolska twórczość poetycka St. Helsztyńskiego" — Aleks. Gieysztor, Warszawa — (z portretem) stron — 5.
11. „Uwaga o nazwiskach na -ak" — prof. A. Szyperski — str. 2.
12. „Gostyń w 1784 roku" — Janusz Staszewski — stron 5.
13. „Pieczęcie i herb miasta Krobi, Piasków Poniecą" — dr. Gumowski (3 ryciny) — stron 5.
14. „Powiat gostyński w czasach przedhistorycznych" — Zdzisław Adam Rajewski — (6 tablic, 4 map, 6 rycin) — stron 37.
15. „Obraz malarza Kwiatkowskiego w farze gostyńskiej" — dr. A. Brosig — str. 3.
16. „Poczet proboszczów w Siemowie" — Wł. Stachowski — stron 6.

Jak widzimy tomik ten mieści w sobie różne wiadomości, ważne nietylko dla poznania regjonu.

Oby Kronika Gostyńska znalazła warunki kontynuowania swych wysiłków, oby miała jaknajwięcej zwolenników i czyteln.

Prof. Władysław Kołomłocki.

Stefan Papée:

Wielkopolska wczoraj i dziś

Lwów 1933. Str. 240 z ilustracjami.

Autor, Krakowianin, od r. 1920 profesor gimnazjalny w Poznaniu, dziś dyrektor szkoły średniej jest znany Wielkopolanom przedewszystkiem z „Kwiatów na ugorze". Już z tej książki poznaliśmy entuzjastę krainy Wielkich Dolin, człowieka, co nietylko osiadł w Poznaniu, ale zwiedził jego ziemie wszerz i wdłuż, poznał i pokochał. Myśl napisania książki o dziejach politycznych i kulturalnych Wielkopolski nie dawała mu od tych kilkunast lat spokoju — pisze w przedmowie. Wiemy dobrze, że niełatwo o taką syntezę, zwłaszcza podręcznikową, dla nauczycieli młodzieży, a więc niejako oficjalną, wielce odpowiedzialną, jeśli książka ma być pierwszym podręcznikiem regjonalnym z cyklu przygotowywanego przez Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Niełatwo dla wielkiego zaniedbania, dla braku prac podstawowych. Autor, podejmując temat wykazał więc niemałą odwagę cywilną, podtrzymywaną jednak zamiłowaniem i pokochaniem regjonu. Ułożenie jakiejś zwięzłej całości nastręczało niewątpliwie wiele trudności. Papée wyszedł z niebezpiecznej próby zwycięsko. Dał braciom Wielkopolanom najpiękniejszy prezent, na jaki było go stać. Napisał rzecz dobrze ułożoną, ciekawą, pouczającą. Młodzież się wiele z książki nauczy. Trudno oczywiście wymagać, by pierwsza tego rodzaju synteza była wolna od drobnych usterek. Giną one w ogólnej sumie zalet. Trzeba o nich jednak wspomnieć dla dobra ew. drugiego wydania pożytecznej książki.

Najsłabszy rozdział przedstawia mowa ludu w Wielkopolsce, tak rzeczowo jak i graficznie. „Na poctawie" (podstawie) i „leki" (lekki) to wymowa ogólnopolska (tu gwarowo „letki"). „Smaka", rzecz słowotwórcza, odmienia się prawidłowo. Pisze się „trzonkiem", tylko „wuja" nie „wujo", wieczorem lata „latoperz". „Tu niema nic do śmiocio" to zwrot humorystyczny, a „ja byłem idziony", „byłem jechany" to powiedzenia pomorskie (kociewskie), przenigdy wielkopolskie. Wyrzysk i Orla (nie Wyżysk i Orła, zapewne mylki zecerskie) Pałuki to kraj, mieszkańcy Pałuczanie. Podana etymologja Taśtaków to wersja ludowa, w rzeczywistości wyraz niejasny. Giecz nie był „słynnem miastem za pierwszych Piastów", tylko grodem. Często miesza się te pojęcia. Miasta stworzyła kolonizacja niemiecka w w. XIII, a dawny gród był tylko warownią, zamkiem. Sejmiki średzkie, jak to już zwrócił uwagę Pomykaj w Kurjerze Średzkim, nigdy nie były generalnemi, tylko zgromadzeniami szlachty (nie posłów) z dwóch województw. Andrzej Glaber żyje w wieku XVI, nie XV. Szkoda, że autor, wymieniając mistrzów krakowskich pominął głośnych profesorów jak Marcina ze Słupcy (toż to Wielkopolska, chociaż nie wiadomo dlaczego Papée milczy o Kaliskiem, które należało 800 lat do Wielkop. i dzieliło jej losy polityczne, kulturalne itd. jaknajściślej; jeżeli milczenie jest celowe, to tytuł książki winien brzmieć inaczej: Poznańskie wczoraj i dziś), dalej Andrzeja z Kokorzyna, a przedewszystkiem znakomitego Wojciecha z Brudzewa, mistrza Kopernika. Czechowi Komeńskiemu, który przebywał w Lesznie przez 12 lat poświęca autor ponad stronę, a jednem zdaniem zbywa np. wielkie zasługi wszechstronnego działacza H. Cegielskiego, pomija zaś zupełnie takie nazwiska jak K. Zimmerman, rektor krakowski, autor pomnikowego dla Wielkopolski dzieła o kolonizacji pruskiej, nie wspomina nic o skromnym zrazu organiście sarnowskim, a później pionierze polskiej opery narodowej K. Kurpińskim z Włoszakowic, najwybitniejszym muzyku polskim przed Moniuszką (Surzyńscy są wzmiankowani), na pamięć zasłużyli: Ksawery Liske, Teodor Jeske Choiński (pisał też o Wielkopolsce), Jan Plebański, Z. Sw. Słupski, J. Mycielski, L. Kapliński, A. Kalina, Surowiecki, Ćwikliński i t. d.[1]) Całego szeregu ogólnie znanych postaci Papée nie uwzględnia. Wprawdzie niektóre z nich są związane z Wielkopolską tylko pochodzeniem i początkową działalnością lub tylko studjami gimnazjalnemi, ale wtedy konsekwentnie trzeba było pominąć Śniadeckich, i Hoene Wrońskiego, i Kazimierza Morawskiego, i Kasprowicza, i wielu innych, bez których anemicznie wyglądałaby nietylko Wielkopolska, ale i książka Papéego. Któżby został? Z drugiej strony poświęcono bardzo dużo miejsca np. A. Niegolewskiemu, albo Jakóbowi Jasińskiemu, którego wielkopolskie pochodzenie jest sporne (według niektórych urodził się ten generał i poeta w Wilnie). Jeśli Jasiński był Kujawiakiem, to rodzina taka była znana w końcu w. XVII w pow. radziejowskim, czyli znów Wielkopolska historyczna, a autor ma na uwadze Poznańskie. Z dość dokładnej sylwetki poety Stefana Garczyńskiego możnaby wnosić, że autor omawia tych Kaliszan, którzy kształcili się w Wielkopolsce (odpadną wtedy przedewszystkiem A. Asnyk i H. Struve), nie stosuje wszakże tego założenia do innych ziem histor. Wielkopolski. Często ponosi tu winę niedokładny Korbut, względnie inne źródła.

Józef Muczkowski nie był Wielkopolaninem, pochodził z Lubelszczyzny. Wici Wlkp. nie mają niestety, żadnego związku duchowego z Życiem Literackiem! I tak dalej. Drobiazgi możnaby mnożyć. Pragniemy jednak zaraz autora usprawiedliwić. *Większość poruszonych drobiazgów znajduje się w niedokładnych źródłach, skąd Papée wiadomości czerpał, a lepszych poprostu niema.* Nie jego było rzeczą badać np. etymologję wyrazu Taśtale itp.[2])

Winę zaniedbania na polu przyczynków kulturalnych itd. do dziejów tej ziemi ponoszą w pierwszym rzędzie Wielkopolanie, a jeżeli tę pierwszą syntezę przynosi Poznaniowi Małopolanin, to Wielkopolska powinna uznać ten trud nietylko jako dług wdzięczności za pracę krakowską Kawczyńskich, Chotkowskich, Zimmermanów, Morawskich, by tylko wspomnieć o niedawno zgasłych uczonych, ale widzieć w nim zachętę i bodziec do gruntowniejszych i wszechstronnych badań swego regjonu ku pożytkowi i chwale całości kultury polskiej.

Alfons Szyperski.

[1]) Wobec braku spisu nazwisk, o który książka wprost się prosi, trudno się zorjentować jacy ludzie znaleźli w niej miejsce. Omawiając wiek XVI autor szafuje hojnie nazwiskami, proporcji jednak później nie utrzymuje.

[2]) co zaś do wyboru nazwisk, zasługujących na wzmiankę, to z doświadczenia (jako autor krótkiej Geografji talentów wielkopolskich) przyznaję, że istotnie skomplikowana to sprawa wobec częstych wędrówek pracowników, różnych zainteresowań itd. (mój przegląd nazwisk jest także daleki od doskonałości).

KRONIKA

— W oficynie Andrzeja Prądzyńskiego ukaże się w najbliższym czasie dalszy tom Bibliotek Wici Wielkop. i to: **Alfonsa Szyperskiego „Geografja Talentów Wielkopolskich".**

— Staraniem Redakcji Wici W. odbył się w Bydgoszczy w dniu 29. kwietnia **Wieczór Autorski** z udziałem: **St. Bąka, Stan. Helsztyńskiego, A. Kawczyńskiego, A. M. Swinarskiego, M. Turwida i J. Znanieckiego.** Autorecytacje poprzedził słowem wstępnem **dr. J. Piechocki.**

— **Prof. H. Mościcki** w swym „Przeglądzie Czasopism" wygłoszonem przed mikrofonem Polskiego Radja w Warszawie (31. III.) poświęcił „Wiciom Wlkp." szereg głębokich i życzliwych uwag.

— **O „Ideologji Wici Wlkp."** mówił w „Radjo Poznańskiem" w dniu 20. IV. red. **M. Turwid.** Z okazji tego odczytu Tygodnik „Radjo" poświęcił „Wiciom" artykuł informacyjny.

— Biblioteka Wici W. przygotowuje do druku cykl **„Listów z Gostynia" Jerzego Bandrowskiego.**

— Współpracownik Wici W. red. **M. Dereżyński** objął redakcję „Piasta" w Inowrocławiu.

— Współpracownik Wici W. **Edward Prądzyński** odczytał w Radjo Poznańskiem (21. IV.) artykuł p. t. „Listy Ludu Wielkopolskiego" (drukowane w 12 i 13 zeszycie Wici W.

— W Warszawskim Expresie Porannym pisze St. Helszyński o „Renesansie Kultury Wielkopolskiej".

Następny numer Wici W. przyniesie prócz innych, artykuły:

Dr. Jana Piechockiego

Poezje A. M. Swinarskiego

Tadeusza Hernesa

Wywiad z Kazimierzem Grusem.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Kochanowskiego 17, m. 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 4—5. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48. Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200 057.